

ADAM ŁUKASZEWICZ ■

BARBARZYŃCA W LAPIDARIUM

*Taki „humanista”, który nie zna greki i łaciny,
tylko sobie wyobraża, że jest humanistą.*

– wykładowca logiki do studentów różnych kierunków humanistycznych,
Uniwersytet Warszawski 1969/70

Nie tylko jako tłumacz zabieram tu głos na miłe zaproszenie redakcji „Przekładańca”. Wychowałem się jednak niejako w cieniu pewnej warszawskiej spółdzielni pracy, zajmującej się poligrafią i tłumaczeniami, w której pracowała przez wiele lat moja Matka. Zawód tłumacza, zwłaszcza tłumacza literatury pięknej i tekstów naukowych, wydawał mi się od dzieciństwa szlachetnym powołaniem, a jego przedstawiciele byli dla mnie postaciami z intelektualnego Olimpu! Kiedy (z inicjatywy śp. Jerzego Ciechanowicza) zaproponowano mi wreszcie pierwsze tłumaczenie dużej książki, byłem już starym koniem, ale ucieszyłem się i pracowałem z zapałem nad przekładem arcykonserwatywnego dzieła Josepha Vogta *Upadek Rzymu*.

Książki książkami, ale największego komplementu doczekałem się jeszcze jako młody człowiek i początkujący tłumacz od *native speaker*, który powiedział mi, że w moim tłumaczeniu pewien zawiły artykuł jest „nieco bardziej zrozumiały niż w oryginale”!

Kiedy wspomniany na początku niniejszego artykułu wykładowca logiki wygłosił, między innymi do mnie, zdanie zacytowane wyżej jako motto, nie miałem jeszcze pojęcia o grece i pewnie dotąd bym nie miał, gdyby nie to, że pomyślał za mnie program studiów ułożony przez profesora Kazimierza Michałowskiego, a domagający się, by archeolodzy śródziemnomorscy, nawet ci, którzy pragną zostać egiptologami od hieroglifów, uczyli

się języka starogreckiego. Nie miałem na to z początku wielkiej ochoty. Dziesięć lat później mogłem już jednak otrzymać 519 ówczesnych złotych honorarium za przekład „z języka staroklasycznego” (tak to było nazwane w umowie, którą mi wręczono). Był to przekład połowy *Prac i dni* Hezjoda, stanowiący przede wszystkim dzieło profesora Benedetto Bravo, który zaprosił mnie do (skromnego w efekcie) współudziału.

Tak się złożyło, że kiedyś – gdy byłem jeszcze asystentem uniwersyteckim – proponowano mi przełożenie dzieła Pliniusza Starszego. Było to dobrotliwym żartem Tyche, jedyny bowiem dotychczas kompletny polski przekład Pliniusza wyszedł spod pióra Józefa Łukaszewicza, wielkopolana, ale potomka rodu wywodzącego się z Wielkiego Księstwa Litewskiego. Łukaszewicz ma w Poznańskim ulice w wielu miastach, gdyż był zasłużonym badaczem dziejów krajowych. Ale ten stateczny ziemianin władał biegle piórem i dobrze znał łacinę, przeto wytworzył też kolosalne dzieło przekładowe. To tłumaczenie Pliniusza z połowy XIX wieku jest lepsze od współczesnych mu przekładów zachodnioeuropejskich. Oczywiście przydałby się już nowy przekład, trzeba by jednak dziś do tego napisać gigantyczny komentarz archeologiczny. To praca na wiele lat dla całego zespołu.

Tyle *pro domo mea*, a teraz przejdźmy *in medias res*.

Optymiści uważają, że właściwie każdy może być tłumaczem. Skutki tego przekonania zapełniają półki w księgarniach. Czasem błędy tłumaczenia biorą się z pośpiechu, z nieuwagi, z niedoskonałej znajomości języka i z braku czasu lub ochoty na sprawdzanie w słowniku.

Wiele lat temu ukazał się przetłumaczony z francuskiego podręcznik dotyczący Mezopotamii, w którym z niemałą radością znalazłem – wśród terminów poświadczonych w najdawniejszych tekstach z Mezopotamii, a oznaczających przeważnie różne profesje – zawód „palmiarz”. Domyślałem się, że tłumacza zwiodło występowanie wyrazu *palmier* w wyliczeniu zawierającym głównie nazwy zawodów. Jednak nie tylko zawodów, bo *palmier* to po prostu „palma”.

W pewnej przełożonej niedawno z francuskiego książeczce wyrażenie, które w oryginale brzmi *la belle, ambitieuse et impudente courtisane*, odnoszące się do słynnej królowej Kleopatry (stanowiące zresztą cytat z innej, znacznie wcześniejszej, pracy francuskiej) przetłumaczono jako *piękna, ambitna i nierozważna kurtyzana*. Tymczasem powinno być oczywiście *piękna, ambitna i bezwstydna kurtyzana*. Tłumacze wyraz *impudente* skojarzył się z *imprudente* i tak Kleopatra została nierozważną

kurtyzana. Nie wiem, czy mam rację, ale myślę, że gdyby tłumaczka była bardziej zżyta z łaciną, nie przydarzyłaby się jej ta omyłka, bo wyraz *impudens* występuje w łacinie chyba częściej niż *imprudens*.

W roku 1966 znakomity felietonista warszawskiej „Kultury” napisał bez litości o przekładzie *Historyków cesarstwa rzymskiego* (*Scriptores Historiae Augustae*), że tłumaczka przełożyła to dzieło z łaciny „na język własny” – ale spróbowałby sam przekładać chropawą łacinę *Scriptores*!

W *Corpus Caesarianum* (anno 2003) znalazłem wspaniały *lapsus* tłumacza, który powołując się na dzieło Kassjusza Diona, powiadamia nas w przypisie, że aleksandryjczycy uroczyście spalili płaszcz Cezara. Ciekawe, po co im to było? W rzeczywistości wywiesili oni zdobyty płaszcz na tropajonie, a tłumacz pomylił grecki czasownik (*ana*)*kremanymi* („wy/wieszać”) z łacińskim *cremare* i stąd owo spalenie. Tropiąc źródła tego błędu, stwierdziłem jednak, że jest on przepisany żywcem z uczonego francuskiego dzieła z roku 1904. Nie ma się co z tego naśmiewać. Wszyscy jesteśmy omylni. *Nihil est ab omni parte beatum*.

Tym, którzy uważają, że z jaką taką znajomością języka i ze słownikiem pod ręką można zostać tłumaczem literatury, proponowałbym, żeby samodzielnie przetłumaczyli na polski wymyśloną przez Jana Potockiego, polskiego geniusza literackiego piszącego po francusku, następującą eksklamację (z *Parad*): *Ah, fille marâtre et putative!* Każde słowo z osobna coś tu znaczy, ale razem tworzą one całość pozornie nonsensowną. Gdy jednak odwołamy się do dalszych skojarzeń, nonsens ten nabierze smakowitego sensu...

Jeśli ktoś sądzi, że literatura naukowa nie wymaga od tłumacza aż tak wysokiego poziomu językowego jak literatura „piękna”, to nie warto właściwie dalej rozmawiać. W dzisiejszych czasach to właśnie literatura naukowa i przekłady źródeł są literaturą *par excellence* i właśnie one wymagają szczególnie szlachetnego języka przekładu. Staranność należy się zwłaszcza przekładom źródeł antycznych, bo są one fundamentem kultury europejskiej, a poza tym przeżyją i tłumaczy (używam tej formy z rozmysłem), i wydawnictwa, i księgarzy, aż doczekają się jakiegoś nowego renesansu, który przyjdzie, gdy ostatecznie wyczerpią się przelotne i jałowe eksperymenty kulturalne.

Po to, aby stać się dobrym tłumaczem, trzeba mieć talent. Trzeba też znać co najmniej dwa języki – język oryginału i język przekładu. Z nich ważniejsza jest oczywiście znajomość języka własnego. Trzeba też interesować się tym, co się robi. *Nil tam facile quin difficile fiat si invitus*

faciat. Tłumacz musi lubić swoją pracę i wykonywać ją z przyjemnością. Praca fachowego tłumacza humanistycznej literatury naukowej – porządnej literatury, jaka się ostała po załamaniu się wielkiej prozy – powinna być jednak doceniana.

W świadomości dzisiejszej tkwi głęboko przekonanie, które nie jest głośno wypowiedziane, że starożytność, a zwłaszcza kultura antyku grecko-rzymskiego, to przestarzałe i nieszkodliwe hobby, niestykające się z codziennym życiem, szczególnie ze sferą spraw rzekomo naprawdę ważnych. Tymczasem w ciągu ostatnich stuleci nie było ani jednego przełomowego wydarzenia politycznego i społecznego, które by się nie wzięło pośrednio z poglądów na starożytność. Rewolucja francuska dokonała się w szatach pożyczonych od republiki rzymskiej. Cesarstwo Napoleona I czerpało wzory z imperium rzymskiego. Panowanie jego bratanka, miłośnika Cezara, to świadome budowanie rzeczywistości politycznej na wzorach cesarstwa rzymskiego. Utopijne ruchy społeczne XIX wieku sięgały do idei starożytnych. Ideolodzy rozczytywali się w Platonie. Na lewicy panował kult Spartakusa, któremu niezbyt ściśle przypisywano pewne poglądy społeczne. Imperia totalitarne XX wieku odwoływały się do tendencyjnej wizji Sparty, Rzymu i starożytnych państw despotycznych. Błędne przekonanie, że starożytny Wschód opierał się na wyzysku mas niewolników zaowocowało naśladownictwem w XX wieku. Liczni ideolodzy i przywódcy nowożytni korzystali z przekładów literatury antycznej i z opartej na nich wulgaty, od której do prawdy historycznej było nieraz daleko jak stąd na Księżyc.

Któż ośmielił się zanegować doniosłość roli tłumacza literatury antycznej, skoro można powiedzieć, że za nieścisłe przekłady i ich mylne interpretacje miliony ludzi zapłaciły życiem?

*

Jako dydaktyk powinienem tu zapewne napisać jeszcze kilka podniosłych frazesów o znaczeniu kultury antycznej. Jednak sprzedawanie antycznych tekstów w wydawniczym supermarkecie ma granice, bo to jest towar dla nielicznych. Nie ma wszakże dla Europejczyka innej drogi do kultury niż przez wiedzę o starożytności i nie ma w Europie innej kultury niż kultura pochodzenia antycznego.

Przekonanie, że mamy w Polsce pod dostatkiem przekładów z literatury antycznej, jest zwykłym mitem. Nie ma całości Kassjusza Diona, nie

ma Strabona i Diodora, nie ma Athenajosa. Przekład Herodota pióra Seweryna Hammera, dobrego galicyjskiego latynisty (a nie hellenisty), nieznanego się na Egipcie (czego dowodzi tłumaczenie księgi II, stanowiącej fundament egiptologii), woła o odstawienie go na górną półkę (gdzie trudno sięgnąć). Plutarcha w dostępnym przekładzie wolałbym pominąć milczeniem. Nawet Homer, jądro klasycyzmu, nie miał u nas wielkiego szczęścia. Homeryckie starocie translatorskie są tyleż warte co większość nowszych przekładów. Najlepszy literacko przekład *Iliady* to ciągle przekład Franciszka Dmochowskiego, prawdziwy klejnot Oświecenia, tyle że nienadający się do lektury poznawczej na uniwersytecie. Mało kto pamięta, że Dmochowski przełożył też *Eneidę*, a przekład ten ukazał się w Warszawie w czasach Księstwa, w 1809 roku, już po śmierci autora. Dmochowski zdążył przetłumaczyć dziewięć ksiąg, pozostałe trzy dodał niemłody ksiądz Wincenty Jakubowski. Zauważmy przy tym, że owe dodane trzy księgi zostały podobno przetłumaczone w sześć tygodni, a ich tłumacz nie umieścił swego nazwiska na karcie tytułowej, lecz w skromnym wstępie. *Odyseja* bywa też nadal cytowana w dawnych przekładach, ale jedynie znakomity przekład prozą pióra Jana Parandowskiego nadaje się do czytania – i dobrze, że jest (a raczej bywa) czytany.

Pierwsze prowadzone przeze mnie zajęcia uniwersyteckie były zajęciami z greki dla polonistów. Trwały zgodnie z programem... jeden semestr. Z nader licznego piątego roku polonistyki przyszły na nie... dwie osoby, a i tak jedna wkrótce odpadła. To może właśnie ci, których wówczas nie interesowała fakultatywna greka, mówią mi teraz, że mam pisać *Miceny*, a nie *Mykeny*, *Tesalia*, a nie *Thessalia*, *hipodrom*, a nie *hippodrom*, *higiena*, a nie *hygiena*. Miejmy nadzieję, że chociaż nauczyli się porządnie łaciny, niemieckiego i niderlandzkiego, bez których byłiby bezbronni wobec wielu problemów gramatycznych, składniowych, onomastycznych, wobec średniowiecznych i późniejszych pożyczek językowych itd.!

Kiedy prof. Anna Świderkówna przed wielu laty wystąpiła z rozsądną propozycją uporządkowania sposobu pisania po polsku nazw i imion greckich, nie spotkało się to z większym zainteresowaniem.

Tłumaczenia z literatury antycznej i kultura języka to nie są dwie różne sprawy, ale ta sama kwestia podstaw kultury. O sztuce tłumaczenia można jak o wielu innych umiejętnościach powiedzieć: *ars longa, vita brevis*, co znaczy „opanowanie zasad sztuki trwa długo, a życie jest krótkie” (trochę to inny przekład niż rozpowszechnione mylne rozumienie

tego pierwotnie greckiego powiedzenia Hippokratesa: „sztuka jest długotrwała, a życie krótkie”, co nic nie znaczy, bo przecież *technē*, czyli *ars*, to nie „dzieło sztuki”).

Nieporozumienie tkwi czasem nie w samym przekładzie, a w komentarzu, gdyż dzisiejszy przekład źródła antycznego musi być komentowany. Przed (nie powiem, ilu) laty ukazał się przekład *Sejmu kobiet* Arystofanesa. W miejscu, w którym mowa o tym, jak to niewiasta w podkaszanych szatach może pokazać „Kudłacza”, znajduje się przypis: „Kudłacz (w oryginale *Formisios*) – imię jakiegoś Ateńczyka, wyjątkowo kudłatego”! Zrozumienie właściwego sensu tego komentarza wymaga chwili zastanowienia nad proponowanym wytłumaczeniem żartu Arystofanesa. Trzeba też pamiętać, że Formizjos to autentyczna postać z epoki.

W zasadzie w dziedzinie polskich przekładów klasyki grecko-rzymskiej im głębiej w przeszłość, tym ciekawiej. Polska sztuka przekładania z greki osiągnęła szczyty za Jana Kochanowskiego. Mistrz czarnoleski obficie czerpał ze skarbnicy helleńskiej, zgodnie z obyczajem epoki nie podając pierwowzorów. Przekładał nawet *skolia* attyckie znane mu z Athenajosa. Takim przekładem *skolion* (uważanego wtedy za utwór Praksilli z Sikyonu) jest pewna obsceniczna fraszka. Po grecku brzmi to mniej więcej tak:

Nierządnicą i łaziebnik mają stale ten sam zwyczaj:
w tej samej wannie myją i dobrego, i złego.

Kochanowski zaś pisze:

Łaziebnicy a kurwy jednym kształtem żyją,
W tejże wannie i złego, i dobrego myją.

Przekład ten jest znakomity, nawet lepszy od oryginału, bardziej lapidarny i dosadny. *Ex ungue leonem*.

Także w naszych czasach liczni utalentowani tłumacze naukowcy wiele zrobili dla utrzymania wysokiego poziomu przekładów literatury greckiej na polski.

Oprócz tłumaczeń z greki i łaciny mamy też w Polsce znakomite i mało spopularyzowane przekłady poezji i prozy egipskiej, dzieło genialnego Tadeusza Andrzejewskiego, przedwcześnie i tragicznie zmarłego warszawskiego egiptologa. Właśnie te egipskie teksty najlepiej dowodzą znaczenia kwalifikacji tłumacza – czytelnicy muszą mu wierzyć, bo inaczej czeka ich nauka egipskiego!

Każdy tłumacz jest twórcą. Sztuka przekładu jest podobna do sztuk plastycznych: polega na opisie, na przekazaniu komunikatu innymi niż w oryginale środkami, tak jak obraz jest opowiadaniem o trójwymiarowej rzeczywistości za pomocą imitowania jej na płaszczyźnie. Talent narracyjny w języku przekładu jest ważniejszy dla tłumacza niż swoboda posługiwania się językiem oryginału. Nie byłbym skłonny w ogóle dopuszczać zdarzającego się kiedyś tak zwanego (eufemicznie) przekładu filologicznego, z którego dopiero literat nierozumiejący oryginału tworzył przekład rzekomo literacki. Jest to praktyka nieodpowiadająca zasadom sztuki.

Borykamy się czasem z problemem wad nie przekładu wcale, lecz oryginału. Dotyczy to nie tylko tekstów starożytnych i kwestii jakości i wiarygodności edycji, ale też nowożytnych dzieł literackich i naukowych (także z dziedziny nauk o starożytności). Sam z mieszanymi uczuciami przekładałem książki o starożytności, w których pojawiały się poglądy (według mnie) mylne czy przestarzałe. Nic nie mogłem zrobić, tłumacza obowiązuje wierność wobec oryginału. Wydawnictwa próbują czasem tuszować błędy zagranicznych autorów. Uważam to jednak za niewłaściwe.

A oto inna istotna sprawa: pewne wydawnictwo wyrzuciło mi z przekładu dzieła naukowego dedykację autora oryginału, brzmiącą: *Żonie i dzieciom jako testament*. Dowiedziałem się potem od kogoś, kto był uczniem autora, że mistrz wyjątkowo kochał rodzinę, książkę zaś napisał, kiedy zachorował i powiedziano mu, że wkrótce umrze. Postanowił więc esencję swojej wiedzy zawrzeć w książce pomyślanej jako naukowy testament. Na szczęście autor wyzdrowiał i żył jeszcze przez ćwierć wieku. Pozornie mało ważna dedykacja stanowiła zatem znaczącą wypowiedź owego autora.

Oryginał należy zawsze traktować z pietyzmem. Nie wolno go skracać ani też gwoili „obiektywnej poprawności” przypisywać autorowi poglądów, których nie wyraża. Nie należy przerabiać przekładanych dzieł naukowych, nie byłbym też skłonny – poza wyjątkowymi sytuacjami – dopisywać polskich appendiksów do tłumaczeń dzieł popularyzatorskich, co kiedyś robiono, by uzupełnić luki wynikające z niewiedzy obcokrajowców o naszych osiągnięciach.

Także tłumaczowi – twórcy, artyście słowa i lingwiście – należy się respekt redaktorów dla właściwości językowych jego pisarstwa. Zamiast mechanicznego stosowania aktualnych (często nietrwałych) „zasad poprawności” proponowałbym więcej wiary w kompetencje autora.

W przykładzie tendencja do parafrazy powinna ustępować dosłowności tam, gdzie chodzi o poprawność przekazu stanowiącego przedmiot badań naukowych. W tym sensie tłumacz, choć jest twórcą, musi umieć być po prostu skromnym i rzetelnym rzemieślnikiem! Proponowałbym też, by – wobec powszechnej omyłności – zasadą było nieobrażanie się za krytykę tłumaczeń. Byle tylko nie były to dyskusje w stylu „uczył Marcin Marcina” i „poprawki” z lepszego na gorsze!

Wszystkie cytaty i dane w powyższym tekście wzięły się wyłącznie z pamięci autora, która – jak prawie wszystko na świecie – nie jest doskonała.

A barbarian among ancient texts

After a brief account of his personal experience as a translator, the writer (a professor of classics, papyrology and archaeology at Warsaw University) investigates problems and traps which a translator encounters in his work. Errors are human, but a special gift and genuine education are indispensable to become a good translator. The author emphasizes the importance of classical studies. Latin and Greek, much neglected in our days, still belong to the foundations of the Western culture. Major historical events in European history were often influenced by ideas inspired by the ancient heritage. In a society largely ignorant of Greek, and even Latin, the translator of ancient texts is not only a furnisher of caviar to the general but may sometimes indirectly become a maker of history. The author comments on the current reception of classics in Poland, taking into consideration the translators' achievements in the past (for example, the great poet Jan Kochanowski of the 14th century) and nowadays. Fidelity is a necessary condition of acceptable translations. To conclude, the author calls for respect for linguistic freedom of the translator as a writer and artist, whose talent may sometimes rise above the common linguistic rules imposed on texts by the editors. Translators should, however, be aware of their responsibility and they should not forget that they are supposed to be skilful and meticulous craftsmen, always ready to accept criticism of their readers.